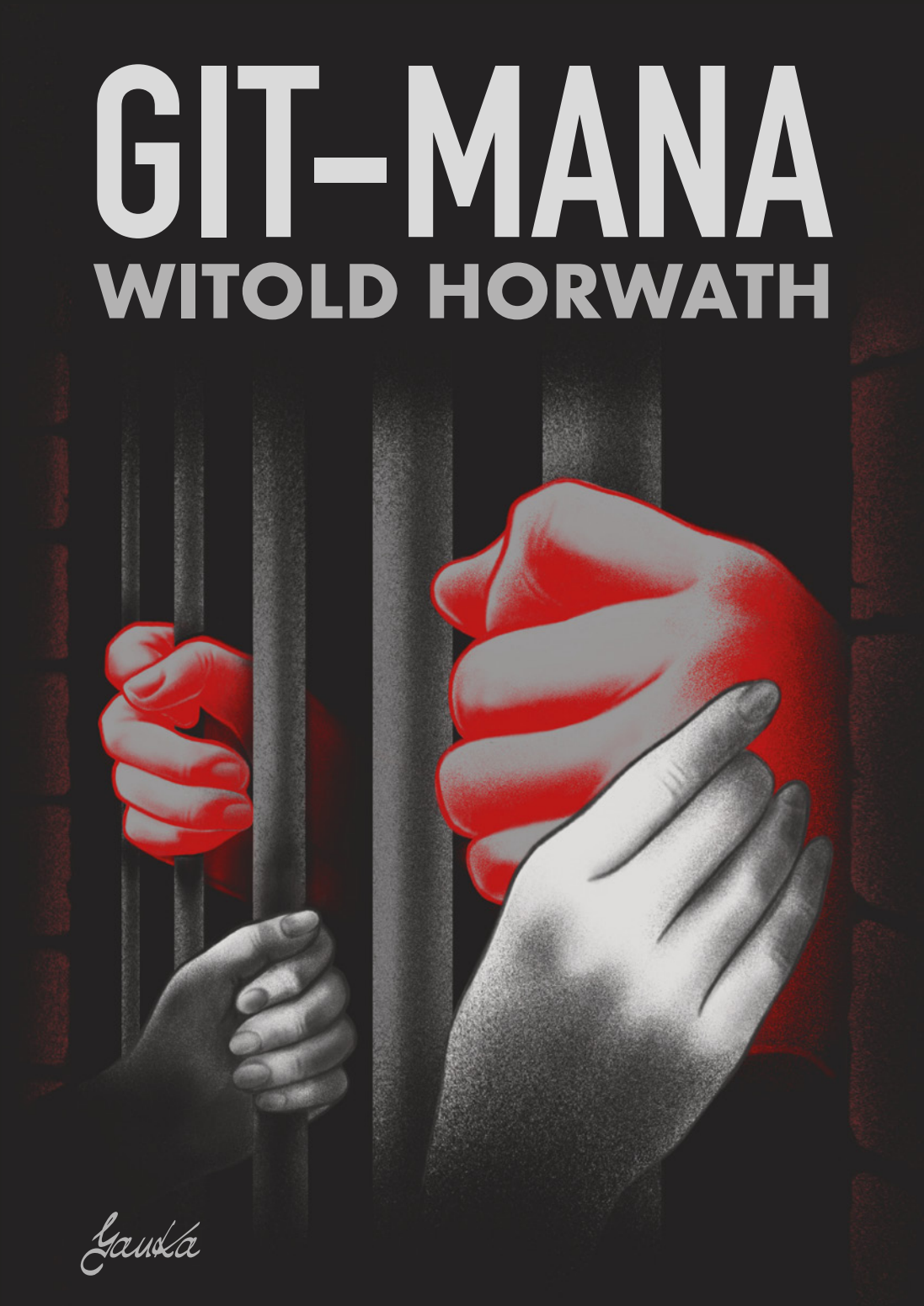
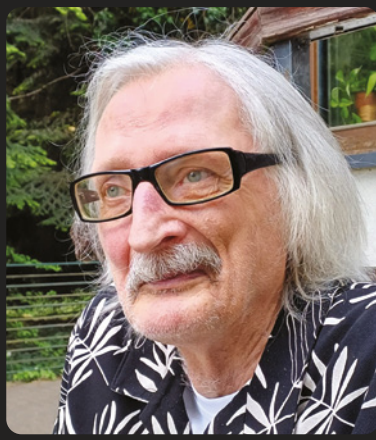
GIT-MANA

WITOLD HORWATH





Witold Horwath

(ur. 29 lipca 1957 w Warszawie) – uznany polski pisarz, scenarzysta filmowy i telewizyjny. Zadebiutował w 1990 roku zbiorem opowiadań *Inna wojna*. Rozgłos przyniosła mu powieść *Święte wilki* (1992), okrzyknięta *Złym* lat 90., oraz kultowy *Seans*, wydany w 1997 i przetłumaczony na niemiecki, holenderski i rosyjski. W ostatnich latach zainteresowaniem czytelników cieszyła się trylogia historyczno-kryminalna – *Lisica, Dziewczyna z Konstancina, Policjantka i romantyk*. *Lisica* głosami internautów uznana została za powieść roku 2022 w kategorii Kryminał/sensacja portalu książkowego Granice.pl.

Jest autorem scenariuszy wielu popularnych seriali TV, takich jak *Ekstradycja* 1 i 2 czy obyczajowy *Egzamin z życia* oraz kilku filmów fabularnych, w tym uhonorowanego Nagrodą Specjalną na festiwalu w Gdyni *Ogrodu Luizy*.

Witold Horwath

Git-mana

Gawęda
2026

Copyright © Witold Horwath, 2026
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2026

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2026

ISBN 978-83-68015-11-9
[fragment]

Pojawili się na osiedlach naszych miast pod koniec lat 60. Młodzi, wściekli, agresywni. (…) Mieli rygorystyczny kodeks, zasady życia, kuriozalne rytuały i przede wszystkim język.

Jakub Nagabczyński
(współautor filmu *Gitowcy*)

To o nich i o czasach, kiedy trzęśli Warszawą, opowiada po latach trójka bohaterów powieści: dwoje ówczesnych nastolatków oraz ich nauczyciela.

Agnieszka Herman, poetka

Koleżankom i Kolegom z podstawówki.

Irena

Kamienice Oppenheima są ogromne, z licznymi oficynami, a żołdakom z Brandkommando i sił już brakowało, i benzyny. Może na upartego w kolejną nieprzespaną noc którąś puściliby z dymem, ale nie spróbowali nawet. Widok masywnej pierzei tak ich zniechęcił, że hurmem wskoczyli pod plandekę Blitza[1] i – wio do koszar! *Befehl ist Befehl*,[2] jednak od rozkazu mocniejsze było pragnienie snu i pokusa, żeby wypiąć się na to wszystko.

Dzięki temu czwórka, dziesiątka, dwunastka i szesnastka ocalały, a po wojnie zaludnili je kwaterunkowi lokatorzy. Postacie często barwne i groźne, przez które nieduża śródmiejska uliczka wraz z podobną sąsiednią zyskały z czasem miano Trójkąta Bermudzkiego. Kiedyś, wracając późno z rady pedagogicznej, usłyszałam z głębi bramy ostry gwizd, a po nim ostrzegawcze wołanie: „Nalot, męty na Trójkącie!". Ot, i cały klimat tego miejsca jak w pigułce – pomyślałam.

(…)

Pamiętam, że były jakieś roboty drogowe i sto pięćdziesiąt dziewięć puszczono objazdem naszą uliczką. W ten sposób Buda

[1] Opel Blitz, trzytonowa ciężarówka powszechnie używana przez Wehrmacht.

[2] *Befehl ist Befehl* (niem.) – Rozkaz to rozkaz.

po całonocnym handlu wódką, kompletnie pijany, ujrzał nagle czerwony pysk Berlieta, wyłaniający się z Koszykowej.

– No nie, po mojej ulicy to ty, w dupę jebany, nie będziesz jeździł – wybełkotał z oburzeniem, po czym wstał z ławki i, zataczając się, wkroczył na jezdnię.

Kumple oczywiście ani myśleli go powstrzymywać, tylko podeszli do krawężnika, zadowoleni, że mają widowisko. Przekrzykując klakson autobusu, dopingowali Budę, a on w furiackim amoku wymierzał kopniaki: w zderzak, w zderzak i wreszcie z wyskoku w reflektor.

– Berliet waży najmniej osiem ton i to bez pasażerów – powiedział major, który widział całą scenę z okna. – Więc zakończenie potyczki mogło być tylko jedno.

Miał rację. Przy trzecim kopniaku Buda stracił równowagę, przewrócił się, i autobus przejechał mu po głowie.

– Nie do uwierzenia, pani Ireno, ale błyskawicznie wywinął się spod kół i co sił w nogach pobiegł do domu. Dopiero tam, na oczach rodziny, wyzionął ducha.

– A ja za chuja nie mogłem zrozumieć, dlaczego ma taką płaską głowę i cały czas się za nią trzyma – opowiadał w bramie ojciec Budy, łkając między haustami wódki. – Nawet jak już umarł, nie szło mu rąk oderwać, tak zacisnął.

Przyjechała karetka, a po niej specjalne auto, którym zabrano zwłoki na sekcję. Medykom i prokuratorowi wydawało się niemożliwe, żeby facet z mózgiem na wierzchu przemierzył dwa podwórka i jeszcze wlazł na trzecie piętro. Podejrzewali, że przyczyną śmierci nie były obrażenia spowodowane przez autobus, lecz pobicie – na schodach albo już w mieszkaniu.

– Też bym nie uwierzył, gdybym nie widział na własne oczy – zapewniał mnie major i nagle oboje zdębieliśmy.

Bo oto z bram dziesiątki, dwunastki i szesnastki wysypał się tłum gitów i w gęstym żałobnym kondukcie ruszył za noszami z Budą. Wszyscy mieli wysoko podwinięte rękawy i cięli się żyletkami, aż krew bryzgała na chodnik.

Joasia

Tomek też miał kropkę, najpierw małą, a później sobie powiększył, znaczy się powiększyli mu w Gorzowie. To takie miasteczko gdzieś hen daleko, za siódmą górą, za siódmą rzeką, ale rozbiłam świnkę, wyjęłam wszystkie moje roczne oszczędności, a potem spakowałam do plecaka co trzeba i z samego rana zamiast do szkoły pobiegłam na dworzec. Gdzie jest dworzec, wiedziałam, bo jeździłam dwa razy na kolonie do Ustki, więc bez kłopotu trafiłam. Podeszłam do kasy, pokazuje pani za szybą te moje moniaki i się pytam, czy wystarczy do Gorzowa, ona się na mnie podejrzliwie popatrzyła: „Bez rodziców jedziesz?". I kazała mi zaczekać, a sama łaps za telefon i gdzieś dzwoni, pewnie na milicję, się domyśliłam, zgłosić, że dziecko z plecakiem bez opieki na dworcu. Czyli z domu uciekło albo się zgubiło. Zasłania usta ręką, ale piąte przez dziesiąte do mnie dociera. Babsztyl zwraca się do rozmówcy „sierżancie", więc ja od razu chodu na drugi koniec dworca i tam pół godziny później dogania mnie komunikat z megafonu, że po hali błąka się mała dziewczynka, na oko dziesięć, jedenaście lat, i jak ktoś ją zobaczy, niech przyprowadzi do dworcowego komisariatu MO. Ale ja już wtedy miałam bilet. Jedną panią uprosiłam, żeby mi kupiła w kasie po przeciwnej stronie hali. Miała pewnie z pięćdziesiąt lat, była pyzata, w okularach krótkowidza i w ciemnej sukni, jakby wracała z pogrzebu. Mocno wymalowana, z wąsikiem i chyba stara panna; posłała mi nieufne spojrzenie, ale szybko wytłumaczyłam, że jadę

do brata, który leży w szpitalu w Gorzowie, bo miał wypadek na motocyklu, wczoraj przyszedł telegram, a ja tylko z babcią mieszkam. Klaruję dalej tej pani, że mamusia umarła, a tato w więzieniu, czyli muszę jechać sama, babcia na krok się z domu nie ruszy, tak ją krzyż boli. No i ta pani rozczuliła się, prawie zapłakała. „Wiesz, dziecko, ja do Zielonej Góry – mówi do mnie – więc usiądziemy w jednym przedziale i jakby się kto interesował, powiemy, że jestem twoją ciocią". Ale nagle przestraszyła się własnych słów i pyta z niepokojem, czy ja jej nie okłamuję, bo może uciekłam z domu. A przy tym tak się wgapia w mój plecak, jakby był wypchany fantami, które na drogę zakosiłam rodzicom. „Ale ty masz taki uczciwy wygląd – sama siebie zaraz przekonała – od razu widać, żeś dobre dziecko". A ja się patrzę na nią z minką dobrego dziecka, bo jak potrzeba, potrafię taką robić, i dziwię się, że ktoś używa słówka „żeś", zupełnie jak w szkolnej lekturze. Oczywiście nazwałam ją od razu w myślach Panią Żeś.

W pociągu całą drogę zmyślałam i zmyślałam, jak to tato ukradł w pracy dziesięć tysięcy, żeby opłacić mamy operację w Ameryce. No i posadzili go na cztery lata, a mama i tak umarła, bo na operację już było za późno. I dalej, dalej w tym stylu, same wyciskacze łez, których nie powstydziłaby się Konopnicka czy inny pisarz od biednych dzieci. Chociaż wcale nie sprawiałam wrażenia dziewczynki z biednego domu, byłam ubrana w śliczną nową sukieneczkę w kwiatki, całkiem inną niż te wyblakłe od prania i pocerowane, jakie nosiła większość moich koleżanek, a raczej donaszała po starszych siostrach; i rajstopki miałam eleganckie, elastyczne, a nie okropne rajtuzy, które stale się rolują. A mimo to pani Żeś wierzyła, że spełnia dobry uczynek i wręcz się zakochała we mnie albo w tym uczynku,

bo przed samiuśką Zieloną Górą mówi nagle, że pojedzie ze mną aż do Gorzowa, żeby jakiś głupi milicjant się do mnie nie przyczepił i nie zatrzymał w izbie dziecka. I razem się udamy do szpitala, ona jest lekarką, więc wpuszczą nas poza godzinami odwiedzin. A potem zabierze mnie do siebie do Zielonej, nakarmi, przenocuje i z rana wsadzi w pociąg do Warszawy i da parę złociszów konduktorowi, żeby mnie pilnował jak oka w głowie.

No to przedobrzyłam – myślę sobie i zaczynam kombinować, jak tu się teraz baby pozbyć. Niby nic prostszego. Naciągnąć ją na jakieś żarcie w bufecie na dworcu, a potem przeprosić, że muszę siusiu, ona będzie czekać na mnie przy stoliku, a ja w tym czasie w nogi. No tak. Tylko jeśli z tego WC nie wrócę, doktor Żeś zacznie mnie szukać. Najpierw się zapyta babci klozetowej, a potem wszystkich naokoło, czy nie widzieli dziewczynki w sukience w kwiatki, a na końcu pewnie zawiadomi milicję. Ja w każdym razie tak bym zrobiła, gdybym była dorosła i wzięła sobie pod opiekę dziesięciolatkę, a ta się gdzieś ulotniła.

Fart mi dopisał, bo ubikacja miała okienko, więc myjąc ręce nad umywalką wyczekałam moment, że wszystkie babki się pozamykały w kabinach, a jedna głośno puściła tranzystorowe radio. „Żeby zagłuszyć, jak sram – wyjaśniła innej przez ściankę – bo od dziecka okropnie mnie to krępuje".

Nastawiła na pełny regulator, a leciało akurat Młodzieżowe Studio Rytm, taka bigbitowa audycja dla małolatów, też jej słuchałam, choć wolałam Luksemburg. Pani robiła kupkę, Korda śpiewał o tonącej Andreadorii, dopiero po latach się dowiedziałam, że ta nazwa składa się z dwóch słów: Andrea i Doria, czyli z imienia i nazwiska jakiegoś włoskiego wojownika. W każdym razie dzięki temu, że wokalista je wykrzykiwał, babcia klozetowa nie usłyszała, jak się mocuję z zardzewiałymi klamkami, a potem

jak jęczę, przeciskając się przez wąskie okno razem z moim plecakiem. Ubikacja była na parterze, więc bez ryzyka połamania się, wyskoczyłam na trawnik. Nikogo nie zainteresowało, dlaczego dziecko w ten sposób opuszcza dworcowy budynek, tylko jakiś staruszek spojrzał się na mnie zdziwiony, ale o nic nie spytał. Mogłam spokojnie się oddalić.

Myślałam, że sama jakoś przez przypadek znajdę ten park, ale po godzinie łażenia po mieście, poddałam się i zaczepiłam dwóch takich z gębami jak chłopaki z Trójkąta. „Dla brata w więzieniu mam wiadomość. Wiem, że jest teraz na robocie w parku" – wyjaśniłam, bo życie mnie nauczyło, że wiadomości to dla nich rzecz święta. Bo czy to raz Tomek był przy mnie ostrzegany przez telefon, że ktoś go sprzedał? I wtedy znikał na kilka dni z domu, a stary w tym czasie odkręcał sprawę. Nie dla dobra Tomka, którego najchętniej widziałby w poprawczaku albo w więzieniu, ale dla własnej reputacji, żeby wrogowie w pracy nie rozpowiadali, że towarzysz dyrektor ma syna kryminalistę.

Niestety, za ostatnim razem się nie udało, bo mój brat i Darek Wąsikiewicz uderzyli za wysoko, ale skąd mieli wiedzieć, że zbok, którego poznali w ogródku jordanowskim na Emilii Plater, jest krewnym premiera Bułgarii? Przyjechał do Polski jako korespondent gazety „Robotniczesko Deło", i zaraz zaczął podrywać chłopaczków, a w razie kłopotów powoływał się na potężnego kuzyna. Ten jordanek był stałym miejscem jego łowów, a Tomek i Wąsik z kolei przychodzili tam wypić na ławce bełta. No więc się spiknęli i Bułgar spytał, czy nie mają młodszych kolegów, najlepiej dwunastolatków, a oni mu na to, że ilu chce, do wyboru do koloru, tylko muszą zatelefonować w jedno miejsce. Więc kupili wódkę i pojechali do niego na Saską Kępę,

i tu już nasz stary był bezradny, chociaż znał kupę szych w milicji. „Gdyby mu parę razy przyłożyli i nawet wynieśli to złoto, może jeszcze bym ich jakoś wyciągnął – tłumaczył mu ważny pułkownik, komendant dzielnicy Śródmieście. – Zwłaszcza że podobno ten bułgarski premier ma dość zboczeńca i już nie chce się mieszać w jego sprawy. No, ale pan przecież wie, co wykazała obdukcja".

Ja też wiedziałam, tak jak cała szkoła i cały Trójkąt. Wszystkich to okropnie bawiło, nawet dorosłych, nawet ludzi, których bym nie podejrzewała, że się mogą z takich rzeczy śmiać. Nie współczułam oczywiście człowiekowi, co zaczepia dzieci na placu zabaw i robi z nimi świństwa w samochodzie; cieć z jordanka przecież zeznał, że dziesiątki razy widział go w akcji, ale bał się zgłosić milicji, skoro Bułgar był ważnym dziennikarzem. A jednak przeżyłam szok, że Tomek okazał się do czegoś takiego zdolny.

Choć nie przestałam go z tego powodu kochać. Potem ból rozstania tylko wzmocnił moje uczucie.

Irena

W mojej szkole prawie każdy uczeń miał czeredkę sióstr i braci, im liczniejszą, tym na ogół sprawiającą więcej kłopotów. Choć oczywiście zdarzały się wyjątki, na przykład trzech synów i córka właściciela pobliskiej ciastkarni. Wszyscy czworo, że do rany przyłóż. I słodcy jak pączki i babeczki taty.

Ale o Czarneckich tego nie dało się powiedzieć. Pierwsza trafiła do nas Mariola. Głupia jak but z lewej nogi. To właśnie ona stwierdziła, że królestwem rządzi „lud cały". Za to była dość pilna, starannie prowadziła zeszyty i ozdabiała je szlaczkami, więc na świadectwach miała trójki i czwórki, a z zajęć

praktyczno-technicznych postawiłam jej nawet na koniec ósmej klasy piątkę. Nie stwarzała też większych kłopotów wychowawczych, choć zadawała się z łobuzerią i, jak podejrzewam, gdzieś w wieku trzynastu lat straciła cnotę. Ale nie zaczęła wagarować ani nie opuściła się w nauce, po prostu zbyt wcześnie zrobiła się z niej wyzywająca dziewucha i tyle.

I pewnie nie zapamiętałabym Marioli Czarneckiej, gdyby nie jej rodzeństwo. Najpierw zjawił się o rok młodszy Tomek. Chłopak wysoki, dobrze zbudowany, o którym wspominany już przeze mnie pan Sowa powiedział, że „emituje fluidy agresji". Wiem, że oficer milicji chciał się przede mną popisać wyszukanym zwrotem, ale trafił w dziesiątkę, to mu trzeba przyznać. Na pociągłej, z lekka piegowatej twarzy Tomka pod strzechą włosów koloru słomy królowała wyniosła mina tego silniejszego i nie znikała nawet, kiedy rozmawiał z nauczycielem.

Pamiętam takie zdarzenie, chyba w piątej klasie, którą Tomek powtarzał. W tej poprzedniej też był największy, najmocniejszy i najlepiej potrafił się bić, więc co dopiero kiedy trafił między chłopców młodszych od siebie. Skarżyła mi się jego wychowawczyni, pani Waleria Ćwietkow, nauczycielka starej daty, że wszystkich terroryzuje, i domagała się ode mnie usunięcia go ze szkoły, jakby nie wiedziała, że jedno niezdanie jeszcze nie kwalifikuje do szkoły specjalnej, a jeśli się zwrócę z takim wnioskiem do kuratorium, to mnie wyśmieją.

Czarnecki instynktownie wyczuwał, że ma w wychowawczyni wroga. A ludzie jego pokroju lubią mieć wrogów. Im więcej, tym lepiej, ciekawiej i przyjemniej.

Pani Ćwietkow uczyła rosyjskiego. Pewnego razu, żeby pokazać, jak się pisze znak miękki i twardy, odwróciła się tyłem do klasy, a wtedy nad jej dłonią z kredą wbił się w tablicę fiński nóż.

– Bałam się stanąć z nim twarzą w twarz – opowiadała mi potem, ciągle nie mogąc pohamować płaczu, choć od zdarzenia minęła godzina, a w szkole już była milicja, po którą zadzwoniłam. – Bo wiedziałam, pani kierowniczko, że to on, nikt inny…

Kiedy więc wylękniona tuliła się do tablicy, poczuła nagle na ramieniu czyjąś rękę, silną jak u dorosłego mężczyzny, i usłyszała jego głos:

– Pani się nie boi, zaraz zaprowadzę tu porządek.

Jednym szarpnięciem wyciągnął finkę i podsunął pani Ćwietkow przed oczy.

– Widzi pani, co za głupek. Trochę niżej i by panią zabił. Dobrze, że w ostatniej chwili zauważyłem i podbiłem mu rękę. Ej, Kmieciński, cho no tu. – Władczym gestem przywołał klasową ofiarę, chłopca lekko garbatego i upośledzonego umysłowo. – Gadaj, dlaczego rzuciłeś w panią nożem.

– Żeby pani widziała, jaki był tym ubawiony, normalnie dusił w sobie śmiech. – Nieszczęsna rusycystka aż się trzęsła z obrzydzenia i strachu. – A potem kazał temu kalece się przyznać, że finka jest jego i że trenował rzuty, bo chciał mnie zamordować za to, że postawiłam mu niedostateczny na okres.

Kmieciński oczywiście nie śmiał się sprzeciwić, a nawet na żądanie Czarneckiego na kolanach błagał panią Ćwietkow o przebaczenie. Spyta ktoś, co zrobiła wezwana przeze mnie milicja? Ano tyle co nic. Przesłuchali Kmiecińskiego na osobności, żeby wydobyć z niego prawdę, ale bez efektu. Strach na amen zakneblował mu usta.

– I co ja mogę, pani kierowniczko? – Sierżant wzruszył ramionami. – Kolega gadał z chłopakami i wszyscy mówią zgodnie, że to ten garbaty rzucił nożem. A dziewczynki twierdzą, że nic nie widziały, bo się patrzyły na tablicę, a nie na klasę.

– Ale chyba nie umieścicie w poprawczaku Kmiecińskiego? – spytałam przerażona.

– No nie. Wiadomo przecież, że to nie on. Ale na przykład mogłaby go pani przenieść do ośrodka dla dzieci specjalnej troski. Tak się teraz nazywa debili, co nie? Dla jego dobra, przecież faktycznie jest przygłupi.

O dziwo, za ośrodkiem byli też rodzice Kmiecińskiego. Pewnie ostatecznie zrazili się do naszej szkoły, która nie potrafiła zapewnić ich synkowi bezpieczeństwa. I mieli rację, a ja czułam się winna i rozpaczliwie bezradna.

– Przyzna pani kierowniczka, że to ja zapobiegłem nieszczęściu – powiedział następnego dnia Tomek Czarnecki; na lekcji polskiego, przy całej klasie, z rozmyślnym zamiarem, żeby mnie poniżyć. – Z narażeniem życia unieszkodliwiłem niebezpiecznego bandytę, a jakoś do tej pory nie usłyszałem od pani podziękowania.

I patrzył się spod grzywki tym swoim wzrokiem esesmana. Rozbawionego esesmana, bo oni też przecież miewali poczucie humoru.

– Wyjdź! – krzyknęłam, wskazując mu drzwi i naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie posłuchał; chyba sama bym wyszła, poszukać pracy gdzie indziej. Ale Czarnecki wzruszył ostentacyjnie ramionami i opuścił klasę.

Okładka:
Joanna Walczykowska

Zdjęcie autora:
Janina Koźbiel

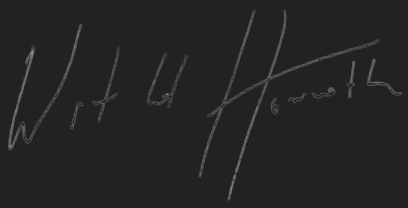
Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-68015-11-9
[fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Czy *Git-mana* to literatura faktu? W jakimś sensie tak. Bo wszystko, co opisałem, istnieje lub istniało naprawdę, łącznie z głównym miejscem akcji. To wąska jednokierunkowa uliczka w centrum Warszawy. Po jednej stronie stalowy parkan, po drugiej domy z czasów cara, a po obu chłopaki z cynkwajsami. Czarny, Wąsik, Budziar rzeczywiście tam byli, pili i bili. Zmieniłem im tylko personalia i ksywki. Podobnie jak rysopisy. Starałem się natomiast wiernie przedstawić ich świat – brutalny, wulgarny, chwilami obsceniczny. Taki był, taki zapamiętałem.



Kim są bohaterowie książki? Gitowiec to według *Wielkiego Słownika Języka Polskiego* przedstawiciel subkultury młodzieżowej w Polsce w latach 70., czerpiącej wzorce postępowania i hierarchii ze świata przestępczego; demonstrował odrębność lekceważeniem zasad społecznych oraz kultem siły fizycznej i psychicznej. W takim środowisku, w jednym z warszawskich trójkątów bermudzkich, Witold Horwath umieścił akcję powieści.

O zdarzeniach opowiadają trzy osoby. Joasia, siostra lokalnego przywódcy gitów, wyjątkowo okrutnego i brutalnego bandyty. Marek, niepoprawny fantasta i skończony lebiega, wychowany przez matkę na dziwaka. I Irena, ich nauczycielka – zafascynowana i przerażona jednocześnie, ale przede wszystkim obdarzona empatią i służąca niestandardową pomocą wychowankom „źle urodzonym". Czy w takim świecie zło zagarnia wszystko? Jak objawia się przyjaźń, miłość, przywiązanie? Co oznacza nieść pomoc, jeśli ludzi dzieli tak ostra granica? Czym może okazać się mana?

Konstrukcja powieści stawia czytelnika przed wyzwaniem. Będzie mu trudno zadowolić się tylko śledzeniem dramatycznych wypadków, opowiedziana historia w nim również wyzwoli niejedno pytanie.

KSIĄŻKA ZAMIAST KWIATKA

SZTUKATER.PL

ISBN 978-83-68015-11-9